

KATHRYN ORMSBEE



MILION ODSEŁON TASH

Utrzymana w duchu **Fangirl**
powieść o internetowej sławie, vlogowaniu
i życiu, które zna każdy nastolatek

moondrive

KATHRYN ORMSBEE

MILION
ODSEŁON
TASZ

TŁUMACZENIE ZUZANNA BYCZEK

moondrive
Kraków 2017

Tytuł oryginału: *Tash Hearts Tolstoy*

Copyright © 2017 by Kathryn Ormsbee

Copyright © for the translation by Zuzanna Byczek

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Joanna Mika

Korekta: Joanna Mika,
Aneta Wieczorek

Łamanie: Daniel Malak

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © copyright by Wydawnictwo Otwarte, 2017;

autor zdjęcia: Agnieszka Gontarz

Fotografia autorki: © Kathryn Ormsbee

ISBN 978-83-7515-454-2

moondrive

www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Dla Virginii Sebastian,
najwspanialszej ciotecznej babci na świecie*

„Jeśli prawdziwe jest powiedzenie: ile głów, tyle rozumów,
to również prawdziwe: ile serc, tyle rodzajów miłości”.
Lew Tołstoj, *Anna Karenina*, tłum. Kazimiera Iłakowiczówna

Właśnie obejrzeliście kolejny nieszczęsny odcinek *Nieszczęśliwych rodzin*, serialu internetowego, który stworzyli dla was Lew Tołstoj i Studio Filmowe Nowalijki.

OBSADA

Anna Serena Bishop
Aleksiej Jay Prasad
Dolly Klaudie Zelenka
Kitty Eva Honeycutt
Lewin George Connor
Stiwa Brooks Long
Wroński Tony Davis

TWÓRCY

Produkcja Jack Harlow i Tash Zelenka
Reżyseria Tash Zelenka
Montaż Jack Harlow
Scenariusz Jack Harlow i Tash Zelenka
Projekt graficzny Paul Harlow
Muzyka Tony Davis

Kolejne odcinki w każdy wtorek i czwartek o 11.00!

Czy to nie zabawne, że czasem coś bardzo długo uchodzi za żart, aż wreszcie pewnego dnia przestaje nim być?

Śmiejesz się z nowej koszmarnej piosenki, ale nadchodzi dzień, gdy grasz ją dwadzieścia razy z rzędu, bez cienia ironii. Wyśmiewasz pomysł jedzenia okry smażonej w głębokim tłuszczu, ale oto któregoś popołudnia lądujesz z rodziną w przydrożnej restauracji gdzieś na zadupiu, w ramach żartu zamawiasz okrę smażoną w głębokim tłuszczu i odtąd staje się ona twoją ulubioną przekąską. Śmiejesz się z klaunów, aż pewnej pamiętnej nocy zamiast położyć się o zwykłej porze, oglądasz film *To* i doznajesz trwałego urazu.

Jestem przekonana, że ten mechanizm istniał już w czasach starożytnych. Wyobrażam sobie, jak rzymscy arystokraci zażywają relaksu w termach, aż tu jeden rzuca: „Ej, Gajuszu, nie sądzisz, że byłoby przezabawnie, gdyby pewnego dnia rozwścieczeni barbarzyńcy zaatakowali nasze miasto?” „El o el, Tytusie Flawiuszu, masz bogatą wyobraźnię”.

Przez długi czas razem z dwójką przyjaciół żartowaliśmy, że pewnego dnia będziemy sławni. Ten idiotyczny refren

powtarzał się za każdym razem, gdy snuliśmy marzycielskie wizje. „Jak będę sławna, kupię sobie całą Nową Szkocję”. „Jak będę sławna, kupię suknię Kate Hudson z *Jak stracić chłopaka w 10 dni*”. „Jak będę sławny, kupię deLoreana i będę jeździć dokładnie sto czterdzieści kilometrów na godzinę”. Tak sobie fantazjowaliśmy, śmiejąc się z naszych napuszonych i absurdalnych pomysłów. Żart.

I nagle już nie.

Oto pierwsze, co powinniście wiedzieć na mój temat: ja, Tash Zelenka, jestem zakochana w hrabim Lwie Nikołajewiczu Tołstoju. Tak oficjalnie brzmi jego nazwisko, ale ponieważ łączy nas bliskie więzi, mówię na niego po prostu Lew.

Poznałam go w księgarni, miałam wówczas czternaście lat. Był początek roku szkolnego, a ja wyznaczyłam sobie ambitne cele. Zajęcia z angielskiego okazały się stanowczo zbyt łatwe. Minęły tylko dwa tygodnie, a ja zdążyłam się zanudzić na śmierć. Wyszukałam więc w internecie ranking słynnych powieści i sporządziłam skróconą listę lektur na nadchodzący rok. Na pierwszym miejscu znajdowała się *Anna Karenina* Lwa Tołstoja. Można powiedzieć, że to Anna Arkadiwna Karenina nas sobie przedstawiła.

To była miłość od pierwszej linijki. Jeśli was to ciekawi, oto jak ona brzmiała: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”^{*}.

^{*} L. Tołstoj, *Anna Karenina*, tłum. K. Iłakowiczówna, Kraków 2012, s. 9.

Czyż nie jest to doskonałe? Lew potrafi zawrócić dziewczynie w głowie. Tamtej nocy nie spałam do trzeciej, pochłonęłam pierwsze dwadzieścia rozdziałów *Anny Kareniny*. Zakochałam się i tak już zostało.

Lew i ja jesteśmy trochę jak Romeo i Julia. To, można powiedzieć, miłość tragiczna. Po pierwsze, mój tata nie przepada za Lwem, ponieważ jest on rosyjski do szpiku kości. Tata wolałby, żebym zakochała się w jakimś miłym czeskim pisarzu, takim jak Václav Havel czy Milan Kundera. Owszem, to bardzo porządni chłopcy i w ogóle, ale próbowaliście czytać *Nieznośną lekkość bytu*? Raczej *Nieznośną pretensję pretensjonalności*, prawda?

Kolejna przeszkoda: Lew nie żyje. Ostatecznie i nieodwołalnie. Już od stu siedmiu lat wącha kwiatki od spodu.

Nigdy jeszcze strumień wiernej miłości nie płynął spokojnie*.

Oto druga rzecz, którą powinniście wiedzieć na mój temat: jestem filmowcem. Czy raczej adeptką sztuki filmowej. I nie, nie próbuję stworzyć kolejnego *Obywatela Kane'a*, za to wraz z najlepszą przyjaciółką, Jacklyn Harlow zwaną krótko Jack, prowadzę kanał na YouTubie i właśnie jesteśmy w trakcie kręcenia serialu internetowego. I nie byle jakiego serialu – to współczesna adaptacja *Anny Kareniny*. Widzicie? Zatoczyliśmy pełne koło, a w razie gdybym nie zaznaczyła tego dość wyraźnie, to teraz już wiecie: mężczyzna o nazwisku Tolstoj stanowi niezwykle istotną część mojego życia.

– Możemy to powtórzyć? Od momentu, jak Eva mówi: „Wiem, co to znaczy”.

Jest późne piątkowe popołudnie, znajdujemy się u mnie w domu i kręcimy scenę kulminacyjną. Ja stoję za lustrzanką

* W. Szekspir, *Sen nocy letniej*, tłum. L. Ulrich. Tekst należy do domeny publicznej.

cyfrową, a Jack monitoruje poziom dźwięku. Paul, starszy brat Jack i mój drugi najlepszy przyjaciel, stoi tuż obok, trzymając mikrofon na tyczce nad głowami naszych gwiazd – George'a i Evy.

Scena, którą dzisiaj kręcimy, nie należy do zbyt skomplikowanych i wymaga jedynie dwojga aktorów z siedmioosobowej obsady. Mimo to bardzo nam zależy, by wszystko poszło idealnie, ponieważ w tej scenie następuje spektakularny zwrot akcji, do którego prowadziło kilkanaście poprzednich odcinków.

A jest to scena pocałunku.

Filmowanie sceny pocałunku nie jest tak żenujące, jak się wam wydaje. Nie, jest dziesięć razy bardziej żenujące. Po pierwsze, trzeba poprosić dwie osoby, które nie są w sobie zakochane, by zachowywały się tak, jakby były. Po drugie, siedzi się po drugiej stronie kamery i filmuje wszystko jak szurnięty podglądacz. Co w moim przypadku jest szczególnie zabawne, ponieważ tego rodzaju widok nie wydaje mi się ani trochę pociągający. I wreszcie, trzeba prosić te dwie osoby, żeby całowały się *w i e l e r a z y*. „Och, przepraszam, ale nie poruszyłeś ustami dokładnie tak, jak trzeba”. Albo: „Ups, wi-dać trochę śliny, trzeba powtórzyć ujęcie”.

W tym konkretnym przypadku jesteśmy przy czwartej próbie. Czuję się nieswojo, ale staram się zachowywać profesjonalnie. To moje artystyczne credo: profesjonalna niezależnie od okoliczności. Byłoby jednak prościej, gdyby George i Eva akurat się nie kłócili.

– Zaczekajcie – mówi George, kiedy daję kolejną wskazówkę. – Minuta.

– O Boże – wzdycha Eva i chowa głowę w dłoniach, a George zaczyna ćwiczenie oddechowe, a potem przechodzi do ćwiczenia dykcji.

– Ba bo by be – powtarza raz po raz, wydymając wargi.

W pewnym momencie Eva krzyczy:

– Przecież nic nie mówimy, całujemy się!

Paul zaczyna chichotać. W efekcie tyczka z mikrofonem się trzęsie i mikrofon zjeżdża na kamerę.

Powoli pogrążam się w rozpacz. W takim tempie nigdy nie nakręcimy złotej sceny – kiedy wszystkie elementy tworzą idealną całość, a gra aktorów wydaje się najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Zwykle George i Eva dobrze się dogadują. Wybuch nastąpił godzinę temu, kiedy to George obraził Evę, mówiąc, że brzydko pachnie jej z ust i powinna posać trochę miętówek, zanim zacznie kręcić z nim scenę pocałunku. I chociaż zachował się jak ostatni palant, wolałabym, żeby Eva odpuściła. W normalnych okolicznościach jest dobrą aktorką, lecz teraz zamiast mgiełki zauroczenia w jej oczach widać żądzę mordu.

– Może zrobimy przerwę? – proponuje Jack, ściągając słuchawki.

Kiwam głową.

– Aha. Dobra, przerwa. Wy dwoje, przejdźcie się na spacer czy coś. Wyrzucicie z siebie te emocje.

Ewie nie trzeba powtarzać. Zrywa się i wypada z pokoju. Chwilę później słychać wodę płynącą z kranu w kuchni. George nie rusza się z miejsca i jak gdyby nigdy nic powtarza ćwiczenie dykcji.

Obracam się w stronę Jack z miną mówiącą „zabij mnie”. Jack wzrusza ramionami. Jej spokój potrafi czasem doprowadzić do szału. Wiem, że też czuje się sfrustrowana.

Nasz serial, *Nieszcześnieśliwe rodziny*, nie najlepiej sobie radzi. Nie mówię o finansach, nie dostajemy za niego ani centa. Mam na myśli to, że nie zyskał tylu fanów, na ilu liczyliśmy, kiedy w grudniu zeszłego roku startowałyśmy z tym projektem. Postawiłyśmy sobie za cel zdobyć tysiąc subskrybentów – plan ambitny, lecz realny. Teraz jest koniec maja i dociągnęłyśmy do marnych czterystu. Mniej niż połowa założonego planu.

Nie jest tak, że spodziewaliśmy się z Jack zostać sensacją internetu *à la* Justin Bieber, ale naprawdę wierzyliśmy, że wzbudzimy większe zainteresowanie. W tym momencie mamy trochę wiernych widzów, zostawiających komentarze pod kolejnymi odcinkami, które wrzucamy na kanał dwa razy w tygodniu, ale to wszystko. Żadnej sieci fanów. Zero natarczywych próśb o następny odcinek. Nie ma mowy o tysiącu subskrybentów. Żadna z nas głośno tego nie mówi, ale chyba obie pokładamy resztki nadziei właśnie w tym odcinku, w scenie między George'em i Evą. Jeśli istnieje coś, co może dać naszemu serialowi kopa, to tylko scena pocałunku. Jak raz ujęła to Jack: „Publiczność kocha pocałunki”. Ja akurat tego nie rozumiem, ale dobra, gram zgodnie z regułami.

George właśnie ćwiczy łamańce językowe („stół z powyłamywanymi nogami”), a ja pochylam się do przodu i stukam go w kolano.

– Hej.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby poczuł się śmiertelnie urażony, że śmiem zakłócać jego aktorski rytuał, ale przerywa i pytająco unosi brwi.

– Mmm, myślisz, że mógłbyś przeprosić Evę?

Robi jeszcze bardziej urażoną minę.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ byłeś dla niej niemiły, a ona jest na ciebie wściekła i wasze pocałunki nie wyglądają wiarygodnie.

– Ale mnie nie jest przykro.

Wzdycham, starając się zachować spokój. Czasami reżyserowanie przypomina niańczenie przedszkolaków – wymaga wielkich pokładów cierpliwości, mocnych płuc i talentu do przekonywania bandy egomaniaków, by robiła to, co sobie zamierzyłaś.

– Wiem, że nie – odpowiadam. – I doskonale rozumiem. Ale wyświadczyłbyś mi wielką przysługę, gdybyś przynajmniej

poudawał, że jest ci przykro. Nie uda nam się nakręcić dobrze tej sceny, jeśli się nie pogodzicie, i zwracam się do ciebie, ponieważ zawsze dajesz popis wybitnej gry aktorskiej.

Czuję, że Jack mnie obserwuje – zapewne jest pod wrażeniem, choć jak ją znam, musi być zdegustowana tym bezwstydnym pochlebstwem. To żadna tajemnica, że George uważa się za najlepszego aktora z całej obsady, i chociaż zwykle określam jego wyczyny „zachowaniem godnym primadonny”, dla dobra sprawy mogę zmienić tę opinię na „popis wybitnej gry aktorskiej”.

George chwytą przynętę. Jeszcze tylko „proszę” na końcu zdania i oto w milczeniu kiwa głową, po czym rusza do kuchni jak żołnierz maszerujący na front.

Kiedy znika, Jack nagradza mnie owacją w dramatycznie zwolnionym tempie.

Paul mówi:

– Mistrzowskie posunięcie.

– Robię, co do mnie należy – odpowiadam. – Paul, nie musisz przez cały czas trzymać tyczki.

– Serio? Co za ulga. – Opuszcza mikrofon i ostrożnie opiera go o sofę, na której chwilę wcześniej George i Eva tak nieprzekonująco się całowali.

– Taa, lepiej oszczędzaj siły na jutro – mówi Jack.

Jutro Paul, podobnie jak moja starsza siostra Klaudie, odbiera świadectwo ukończenia liceum, do którego ja też uczęszczę, Calhoun High. Próbuję o tym nie myśleć. Nie potrafię sobie wyobrazić Calhoun bez Paula. Dobrze, że przynajmniej idzie na miejscową uczelnię.

Za moimi plecami rozlega się ciche „ehem”. Odwracam się. George i Eva stoją w drzwiach. On nieco rozdrażniony, lecz zadowolony, ona nieco rozdrażniona, lecz udobruchana. To już jakiś postępek. Z odrobiną rozdrażnienia dam sobie radę.

– Dobra – mówię. – Gotowi?

Siadają na brzegu sofy, nad grą w scrabble. Paul bierze mikrofon i zajmuje odpowiednią pozycję. Jack zakłada słuchawki i podnosi klaps do kamery.

Tym razem będzie lepiej. Tym razem nakręcimy złotą scenę. Już to wiem. Energia między nimi się zmieniła. Z oczu Evy znikł gniew, nasi aktorzy wreszcie są gotowi. Teraz trzeba to tylko nakręcić.

– Od początku – mówię. Naciskam przycisk nagrywania i kiwam głową w stronę Jack, która uderza górną częścią klapsa o dolną, po czym wyciąga tablicę z ramy.

– I... akcja!

Chyba dostanę udaru, zanim doczekam chwili, kiedy moja siostra odbierze świadectwo.

Słońce nagrzewa trybuny boiska futbolowego przy Calhoun High. Siedzę wciśnięta między tatę i Jack. Dopiero wywołano nazwisko Paula, co oznacza sporo czekania – zanim dojdą od litery H do Z, miną wieki. Temperatura wynosi trzydzieści stopni, a wilgotność powietrza jest tak wysoka, że można by wziąć słomkę i wciągać je jak napój. Rano sądziłam, że bardzo sprytnie robię, wkładając na tę okazję lniany kombinezon w kolorze limonki. Myślałam, że len mnie schłodzi. Nie przypuszczałam, że tyłek tak mi się spoci, że na siedzeniu powstaną żenujące mokre ślady. Nie widziałam się w lustrze, ale czuję rozmiar katastrofy. W kwestii potu i okresu dziewczyna po prostu w i e.

I tak oto siedzę, koszmarnie zgrzana i zapewne odwodniona, zastanawiając się, czy istnieje sposób, by wydostać się ze stadionu, nie wstając z miejsca. Nagle Jack pochyła się w moją stronę.

– Sprawdź telefon.

Dotarli dopiero do M, więc chyba nie przeoczę żadnych fajerwerków.

– Jedenasta trzydzieści – mówię.

– Nie, zajrzyj na stronę. – Jack podsuwa mi własną komórkę.

Mrużę oczy.

– Nic nie widzę w tym słońcu.

Jack rzuca mi telefon na kolana.

– Popatrz.

Oślaniam go dłońmi. Robi się ciemny i odbija światło, ale da się coś odczytać. Nasza strona na YouTube wygląda tak samo jak zwykle. Banner w kolorze łososiowym z napisem „Studio Filmowe Nowalijki” ułożonym z cienkich liter, logo przedstawiające arbuz, a pod nim słońeczko oraz aktualne playlisty: jedna dotycząca mojego prywatnego vloga i druga, z odcinkami serialu. Nie widzę nic niezwykłego.

Twarz Jack jest poważna, więc spodziewam się najgorszego.

– No co? – Wytrzeszczam oczy, jakbym dzięki temu mogła zobaczyć to, czego akurat nie widzę. – Co jest, ktoś zhakował stronę? Nie rozumiem...

– Subskrypcje. Spójrz na subskrypcje.

Zwykle sprawdzam je raz w tygodniu, w niedzielę, kiedy umieszczam nowy filmik na vlogu. Ostatniej niedzieli było ich czterysta dziewięć. Pamiętam dokładnie, ponieważ potem przez cały dzień nuciłam piosenkę Beach Boysów, aż Klaudie wrzasnęła, żebym się wreszcie zamknęła i że Jezu, jak ona się cieszy, że w sierpniu już jej tu nie będzie.

Mój vlog zbiera średnio około stu odwiedzin tygodniowo, a *Nieszczęśliwe rodziny* trochę więcej. Niewielka, lecz lojalna grupa. Przypuszczam, że nie można oczekiwać nic ponad to, kiedy jest się siedemnastoletnią vlogerką amatorką uczęszczającą do szkoły w pełnym wymiarze godzin. W każdym razie ja więcej nie oczekuję, spoglądając w tym momencie na czerwone okienko subskrypcji.

Czterdzieści trzy dwieście osiemdziesiąt siedem.

Nowalijki subskrybuje ponad czterdzieści tysięcy osób.

– O rany – szepczę.

Tata wali mnie w kolano zwiniętym programem, obdarza mnie spojrzeniem, które ma udawać surowe, i ruchem głowy pokazuje scenę. Odpowiadam spojrzeniem, które ma wyrażać skruchę, ale nie odkładam telefonu Jack. Spoglądam jeszcze raz. Odświeżam stronę, pewna, że to jednorazowy ślepy traf. Czterdzieści trzy dwieście dziewięćdziesiąt trzy.

Jack ma rozszerzone źrenice, a jej jaskrawofioletowe włosy wyglądają jeszcze bardziej elektrycznie niż zwykle. Na policzkach wykwitły jej rumieńce, częściowo zapewne wywołane poparzeniem słonecznym – co za idiota wpadł na pomysł wręczania świadectw na tak zwanym świeżym powietrzu – ale jej reakcja jest przede wszystkim wynikiem ogromnego zdumienia.

– O rany – powtarzam. – To chyba nie może być prawda?

– Coś się wydarzyło – mówi Jack. – Musiała o nas wspomnieć jakaś gruba ryba. To jedyne wytłumaczenie.

Wciąż gapię się w ekran, gdy nagle przed moimi oczami pojawia się ręka. Gdy podnoszę wzrok, okazuje się, że to mama sięga ramieniem ponad kolanami taty i mierzy mnie spojrzeniem, które tym razem jest autentycznie surowe. Zaciskając palce na telefonie, unosi brwi z miną, która mówi: „Natasho Zelenko, czy zbyt wiele wymagam, prosząc, byś poświęciła jedną godzinę swego życia na ten doniosły rytuał przejścia?”.

Kręcę głową, na co ona, uspokojona, puszcza telefon. Taka już jest: surowa, lecz szybko odpuszcza i jej strofowanie nie odnosi żadnego skutku. Oddaję telefon Jack i kieruję spojrzenie na scenę, jak na wzorową córkę przystało. Taki żart – wiadomo, że ta rola przypada Klaudie.

Klaudie jest ładniejsza, wyższa i mądrzejsza ode mnie. Nikt nigdy nie musiał mi tego tłumaczyć. Jest to oczywiste,

tak boleśnie oczywiste jak amputacja bez znieczulenia. Jesienią Klaudie rozpocznie naukę na uniwersytecie Vanderbilta, potem zaś zamierza zrobić doktorat z inżynierii chemicznej. Później będzie sobie inżynierowała chemię, wyjdzie za mąż i urodzi siedmioro dzieci, a przy okazji może zostanie prezydentem.

Szczerze mówiąc, nie zazdrozczę jej idealnej przyszłości, ponieważ dzięki temu istnieje mniejsza presja na mnie, bym wyszła za mąż i wydała na świat potomstwo. Moja teoria brzmi następująco: jeśli starsze rodzeństwo robi wszystko, jak należy, młodsze może szaleć do woli. Weźmy na przykład Williama i Harry'ego. Ja to księżę Harry, tyle że jestem potomkinią czeskich dysydentów i handlarzy ryb z Nowej Zelandii, a nie produktem królewskiego chowu wsobnego. I nie jestem tą najseksowniejszą z rodzeństwa, co już zresztą ustaliliśmy.

Kludie może sobie zatrzymać perfekcję i prokreację, ja z radością pokibicuję jej z trybun – w przenośni, a dzisiaj również dosłownie. Ale rany, ponad czterdzieści tysięcy subskrypcji. A jeszcze nie sprawdziłam liczby odsłon.

Kiedy na scenę wchodzi uczniowie z nazwiskami na P, mój umysł dryfuje daleko od szkolnego stadionu w środkowym Kentucky i błąka się po dzikich ostępach internetu. Jack ma rację: musiał o nas wspomnieć ktoś naprawdę w i e l k i. Tylko kto? I czy to, co o nas powiedział, było... m i ł e?

Żołądek podchodzi mi do gardła. W pierwszej chwili na widok magicznych pięciu cyfr w okienku subskrypcji poczułam zachwyt, ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę jest się z czego cieszyć. Może ktoś nas zjechał? Ale nie, ludzie nie subskrybowaliby przecież skrytykowanego kanału. A może? Kto w ogóle zna się na tych sprawach – eksperci od PR-u? Czy istnieje filmik z instruktażem, co robić, kiedy zdobędziesz nagłą popularność w sieci? Kiedy to, co robisz, staje się wiralem?

Viral. Nie lubię tego słowa. Jak wirus czy choroba. Jakby społeczność internetowa tworzyła jedno przewlekle chore ciało niszczone kolejnymi dolegliwościami. Nie ma przyjemniejszego określenia? Na przykład „wybuchnąć jak supernowa”. Znacznie bardziej obrazowe i zapewne trafniejsze jako analogia: potężna eksplozja, po której następuje stopniowe znikanie z ludzkiej pamięci.

Wszystko wskazuje na to, że Nowalijki wybuchły jak supernowa. Ekspłodowały w szalonej feerii kolorów i świateł właśnie w tym momencie, kiedy powinnam oddawać się refleksji nad przemową z okazji wręczenia świadectw i walczyć ze łzami, patrząc, jak moja siostra przesuwa frędzel przy czapce z prawej w lewą. Czy to nie mogło się zdarzyć w środku stycznia, kiedy wszystko było martwe i zimne, czas płynął o połowę wolniej niż zwykle, a ja nie miałam do roboty nic lepszego niż oglądanie na Netfliksie wszystkich dziesięciu sezonów *Przyjaciół* z rzędu? Czemu dzieje się to teraz, gdy w moim życiu wydarza się coś tak ważnego?

Kątem oka widzę, jak kolana Jack podskakują, a jej palce poruszają się niespokojnie po ekranie telefonu.

Jeszcze tylko godzina, mówię sobie. Wytrzymasz godzinę.

Moje ciało jest innego zdania. Żołądek intensywnie produkuje kwas, a mózg wiruje od potencjalnych możliwości. Hashtagi, fanarty, entuzjastyczne recenzje na blogach – wszystko w hołdzie dla Nowalijek. A może nawet... Złota Tuba.

Prrr, Tash, karcę się w myślach. Spokojnie.

Dotarli do T. W kierunku sceny rusza rząd Klaudie – ostatni. Widzę ją, jej czapkę w kolorze zgniłej zieleni zdobi napis MUSIC CITY BOUND.

Może kiedy Klaudie usłyszysz wieści, zdecyduje się jednak zostać w Lexington i dalej kręcić z nami filmy. Może jeszcze raz przeczyta artykuły, które jej kiedyś wysłałam. Mówiły

o tym, że osoby, które zrobiły sobie roczne wakacje między liceum a studiami, są znacznie lepiej wykształcone i spełnione.

„Byłoby świetnie, o ile wybierałabym się do szkoły teatralnej czy filmowej – odparła wtedy Klaudie – ale specjalistom od inżynierii raczej nie zaimponuje fakt, że spędziłam rok na zabawach z kamerą”.

Ten komentarz wywołał w marcu gigantyczną kłótnię, po której ciągle jeszcze liżę rany. Nie przeszkadza mi, że Klaudie jest idealna i że ma plan na życie, ale nie musi wyrażać się tak protekcyjnie. Trudno powiedzieć, czy szczerze ucieszy się z naszego nagłego sukcesu czy też ściągnie wargi i wycedzi, rzucając mi znużone spojrzenie: „To miło, Tash, wiem, ile ten drobny projekt dla ciebie znaczy”.

Od kiedy dostała się na Vanderbilt, często można u niej zaobserwować to ściągnięcie wargi i znużone spojrzenia. Na okrągło powtarza, że już nie może się doczekać sierpnia.

– Klaudie Marie Zelenka.

Kiedy Klaudie wchodzi na scenę, wszyscy w moim rzędzie, głównie rodzina i znajomi, w napięciu pochylają się do przodu. Klaudie spokojnym krokiem przemierza podwyższenie, idealnie wyprostowana, z szerokim-ale-nie-durnym uśmiechem ściska dłoń dyrektora Hewitta, który podaje jej świadectwo. Z miejsca, gdzie siedzą absolwenci, dobiega chórek cienkich głosów wiwatujących na jej cześć – to zapewne przyjaciółki Klaudie, Ally i Jenna. Potem Klaudie znika, a na scenę wkracza ostatni z absolwentów, Charlie Zhang, by również przeżyć swoją chwilę chwały. I koniec.

Jakie to... rozczarowujące.

Pewnie za rok, kiedy przyjdzie kolej na mnie, Jack i resztę naszego rocznika, będzie to wyglądało podobnie. Przygnębiające. Chociaż kto wie? W końcu Nowalijki mają już ponad czterdzieści trzy tysiące subskrybentów (a liczba wciąż rośnie!), więc może wcale nie będę musiała kończyć szkoły.

Przez ten czas zdążę zarobić fortunę i będę sobie siedzieć w pięknej posiadłości gdzieś w Kalifornii.

Tym razem nie każe wyobraźni się uspokoić. To, co tak długo uważałam za żart, już nim nie jest. Stało się rzeczywistością.

Zapewne nie będzie dla was zaskoczeniem, jeśli powiem, że w moim pokoju jest mnóstwo przedmiotów związanych z Tołstojem. Nad komodą wisi ogromny plakat z jego portretem. Na ścianach poprzyklejałam kolorowe kartki z cytatami. Co kilka miesięcy szukam nowych, zapisuję je i wymieniam.

Oto jeden z aktualnych: „Nie ma silniejszych nad tych dwóch wojaków: cierpliwość i czas”^{*}.

Jakie to prawdziwe. Na przykład po ceremonii wręczenia świadectw czas płynie tak. Tak. Tak powoli, jakby chciał wypróbować moją cierpliwość. Marzę, by zamknąć się w swoim pokoju, otworzyć laptop i odnaleźć przyczyny niespodziewanej eksplozji, dlaczego, kto i jak. Ale koniec uroczystości wręczenia świadectw nie oznacza jeszcze, że obchody tego uroczystego dnia dobiegły końca. Najpierw w planie są fotografowanie i uściski – trzymam ręce rozłożone na tyłku jak wachlarze, niczym skrzydła kaczki, próbując w ten sposób zakryć plamy potu – a potem przyjęcie u Harlowów.

Lubię sobie wyobrażać, że nawet gdyby Paul i Jack nie mieszkali przy tej samej ulicy, to i tak połączyłaby nas przyjaźń na śmierć i życie. I nawet gdyby ich dom znajdował się na drugim krańcu miasta, i tak zdarzyłyby się te wszystkie wyścigi rowerowe, walki na pistolety wodne i biwaki na podwórzu za domem. Nasza przyjaźń jest mocna jak stal, zahartowała się podczas upalnych dni lata i zbyt długich zim.

^{*} L. Tołstoj, *Wojna i pokój*, t. 3, tłum. A. Stawar, Wrocław 1999, s. 148.

Histeryczne, spontaniczne ataki śmiechu, połamane kostki, pierwsze przekleństwa... Taka przyjaźń z pewnością jest zapisana w gwiazdach. Moja więź z Paulem i Jack wyrasta z czegoś więcej niż tylko dogodna lokalizacja i decyzje rodziców w kwestii zakupu nieruchomości. Nikt mi nie wmówi, że jest inaczej.

Oczywiście bliska lokalizacja okazuje się wielką zaletą w takie dni jak dzisiaj. Paul i Klaudie wydają wspólne przyjęcie z okazji zakończenia szkoły. Harlowowie oddają do dyspozycji swój ogród, ponieważ mają basen i lepszy grill. Zelenkowie dostarczają jedzenie, ponieważ mój tata to prawdziwy master chef w skali całego Lexington w hrabstwie Kentucky. Ten symbiotyczny układ wymaga jedynie piętnastosekundowej podróży samochodem po Edgell Drive spod numeru dwunastego pod dwudziesty czwarty. Wyprawiliśmy w ten sposób już niejedno przyjęcie. Paul i ja obchodzimy urodziny w odstępie kilku dni, w sierpniu, i łączymy siły od lat. Założę się, że każdego pobiliabym na głowę w liczbie imprez urządzonych przy basenie. Każdego, nie licząc Paula, rzecz jasna.

To pierwsze przyjęcie u Harlowów, w którym nie mam nic wspólnego; nawet trochę się zdziwiłam, że Klaudie przystała na ten pomysł. Nigdy nie należała do naszej grupki. Nie chciała. Jest ode mnie zaledwie półtora roku starsza, lecz już od niemowlęctwa traktowała mnie protekcyjnie. Kiedy zaprzyjaźniłam się z Paulem i Jack, Klaudie uznała całą naszą trójkę za bandę dziecinnych potworków. Nigdy nie była dla nas niemiła, lecz trzymała się na dystans.

Tak więc, biorąc pod uwagę naszą przeszłość, wiadomość, że zamierza wydać przyjęcie wspólnie z Paulem, wywołała u mnie lekkie zdziwienie. Chociaż z drugiej strony świętują razem chyba nie tyle Klaudie i Paul, co rodziny Harlowów i Zelenków, a to z kolei jest najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

W tym momencie jedna z Zelenków koniecznie pragnie spotkać swoich Harlowów. Muszę natychmiast zobaczyć się z Paulem i pogratulować mu z całego serca, że zdołał przeżyć dziesięć lat szkoły publicznej. Muszę też porozmawiać z Jack, wspólnie z nią określić, co właściwie dzieje się z Nowalijkami. Podczas jazdy jeszcze raz sprawdziłam stronę, liczba subskrypcji przekroczyła czterdzieści pięć tysięcy. Z jakiegoś powodu oczy zasły mi łzami. Nie jestem pewna, czy moje ciało będzie w stanie poradzić sobie z następną falą emocji, nieważne, jakiego rodzaju.

Z chwilą przybycia na przyjęcie jestem narażona na ataki ze strony znajomych i kuzynów, którzy uznają za stosowne pogratulować mi świadectwa siostry, tak jakby była w tym jakaś moja zasługa. Udaje mi się zbiec przed kolejną parą sąsiedzkich szponów i nagle dostrzegam Jaya Prasada, który stoi samotnie – a raczej kiwa się – nad brzegiem basenu. Jay zawsze się kiwa, kiedy czuje się nieswojo.

– Jay! – wołam, zarzucając mu ramiona na szyję.

Robi chwiejny krok w tył, pociągając mnie za sobą. Przez chwilę oboje się kiwamy, ale w końcu odzyskujemy równowagę.

Jay jest przyjacielem Paula i moim, czyli, rzecz jasna, nie jest przyjacielem Klaudie. Ten niski i drobny chłopak to niezastąpiony członek ekipy Nowalijek.

– Nie znam tu nikogo – mówi, poprawiając przekrzywione okulary.

Rozglądam się.

– Taa. Naprawdę miło z twojej strony, że przyszedłeś. Paul się ucieszy.

Chwytam go za rękę i prowadzę wzdłuż basenu. Paul siedzi na trampolinie, ma na sobie koszulkę bez rękawów i czapkę absolwenta. Wygląda na to, że przyjął wyzwanie ze strony grupy chłopaków stojących na drabince.

– Paul! – wołam. – Zobacz, kto przyszedł.

– JAY! – wrzeszczy Paul, po czym wstaje i zmusza chłopaków do zrobienia mu miejsca, gdy schodzi z trampoliny. Wygląda jak kroczący po schodach król, przed którym rozstępują się dworzanie.

Klepią się na powitanie po plecach, po czym Paul obraca się w moją stronę i lekko szczypie mnie w policzek.

– A ty gdzie się ukrywałaś? – pyta.

– Chciałam ci pogratulować, ale ciągle ktoś mi stawał na drodze.

Paul przygląda mi się uważnie. Wskazuje na moje oczy, nadal błyszczące od łez.

– Płakałaś, Tash? Już za mną tęsknisz? Już nie będziesz zgarniać punktów za to, że się znamy.

– Ty nigdy nie przysporzyłeś mi żadnych punktów, dupku – mówię. – Jeśli ktoś ma zasługi na tym polu, to tylko Tony.

Tony skończył przedostatnią klasę w liceum Calhoun i również kręci z nami serial. Ma siedmiocentymetrowego irokeza i bez wątpienia jest najbardziej stylową osobą, jaką znam. Oraz eksem Jack.

– TONY! – Paul nigdy nie traci okazji, by wywrzeszczyć czyjeś imię na cały regulator. – Jest tutaj?

Jay znów zaczyna się kiwać. Niektórzy ludzie mają serce na dłoni. Jay nosi swoje jak wielką naszywkę na piersi, jak tandetny sweterek z bożonarodzeniowym motywem.

– Pewnie robi obchód po imprezach u wszystkich swoich znajomych – odpowiadam.

– Nie wiem, jaka impreza miałaby być ważniejsza od mojej – dąsa się Paul. Ale nie tak na serio. Nie jest małostkowy.

– A, tu jesteście – odzywa się ostry głos za moimi plecami. Jack. Przesuwam się, robiąc jej miejsce w tworzącym się kręgu. – Już wiem – rzuca.

– Co wiesz? – pyta Jay.

Paul krzyżuje ramiona na piersi i unosi brwi tak wysoko, że znikają pod ciemną czupryną.

Jack odpowiada głębokim niskim głosem:

– Dlaczego Nowalijki... stały się sławne.

Faceci reagują chóralnym „cooo?”.

– No, może nie do końca sławne. Ellen DeGeneres na razie nie dzwoni. Ale liczby wyświetleń i subskrypcji skoczyły jak szalone. Mamy szansę osiągnąć dzisiaj pięćdziesiąt tysięcy subskrybentów.

Jak echo odzywa się kolejne „cooo?”, tyle że przepełnione jeszcze większym niedowierzaniem.

– A teraz najlepsze – ciągnie Jack, a ja nie mogę wyjść z podziwu, jak ona może mówić to wszystko bez cienia uśmiechu. – Wiecie, kto za tym stoi? Taylor Mears.

– CO? – Tym razem dołączam do chórków zdumionych skrzeków.

Paul ma minę winowajcy, z którą zdążyłam dobrze się zapoznać w ciągu paru ostatnich lat. Mój przyjaciel w ogóle nie interesuje się tym tematem – seriale internetowe, gra aktorska, ogólnie teatr i kino są mu obojętne. W niektórych rozmowach po prostu nie może brać udziału. Przez te kilka miesięcy filmowania pojawiło się tyle terminów, opowieści i nazwisk. Taylor Mears jest jednym z nich.

– To bardzo sławna osobowość w internecie – wyjaśniam, żeby nie musiał pytać. – W gruncie rzeczy to ona wymyśliła seriale internetowe. Wpadła na to lata temu, kiedy jeszcze nie każdy, kto ma kamerę, musiał coś nakręcić.

– *Zwichrowane Wzgórza*, człowieku. – Jay jest zdumiony ignorancją Paula. – Nigdy nie słyszałeś o *Zwichrowanych Wzgórzach*? Te dziewczyny nigdy cię nie zmusiły, żebyś obejrzał choćby jeden odcinek?

– Słyszałem – mówi Paul. Czubki jego uszu robią się różowe. – Tylko nie znałem... nazwiska. Taylor Spears?

– Mears – poprawia Jack. – Pomagała przy scenariuszu i produkcji, a także zagrała rolę Cathy. Jest boska. No i prowadzi vlog, i wspomniała o nas. Powiedziała, że *Nieszczęśliwe rodziny* to jeden z najlepszych amatorskich seriali, jakie widziała.

– Tak powiedziała?! – niemal krzyczę.

Podekscytowana chwytam dłonie Jack, ściskam je i nimi potrząsam. Jack pozostaje obojętna – nie jest typem przyjaciółki, z którą można pisać i skakać. Jest chłodna, na granicy temperatury zamrażania, i stale ma ponury wyraz twarzy. Ale chociaż nigdy nie poniżyłaby się piskami i podskokami, jest równie podekscytowana jak ja, widzę to po lekkim drganiu pomalowanych fioletową szminką warg.

– Pokaż mi – mówię. – Natychmiast.

– Spokojnie, mam to na ekranie.

Jack wyciąga komórkę i pokazuje mi stronę z YouTube'a. W oknie wyświetlania widnieje uśmiechnięta od ucha do ucha Taylor Mears. Jack ustawia maksymalną głośność i wciska „play”.

Nagranie nosi tytuł *Nowe i interesujące!*. Na początku Taylor opowiada, że ostatnio przejrzała kilkanaście mało znanych seriali sieciowych produkowanych przez amatorów z niskim budżetem. Potem dodaje, że chciałyby podzielić się odkryciami, które określa mianem prawdziwych perełek, stanowczo zasługujących na większe zainteresowanie. Pierwsze miejsce na liście zajmują *Nieszczęśliwe rodziny*.

– Słuchajcie – mówi Taylor, patrząc prosto na nas, a jej oczy są wielkie i pełne żaru. – Musicie natychmiast to zobaczyć. Jest już czterdzieści odcinków, więc zarezerwujcie odpowiednio dużo czasu na maraton. Nie mam pojęcia, jak tym dziewczynom udało się sprawić, że klasyczna rosyjska powieść nagle stała się taka przystępna, ale uwierzcie, dokonały tego. Podjęły bardzo sprytną decyzję, redukując liczbę postaci do siedmiu głównych bohaterów. Są to: Anna,

Aleksiej, Wroński, Dolly, Stiwa, Lewin i Kitty. O rany, strasznie mi się podoba, co zrobiły z historią Lewina/Kitty. Oboje aktorzy są niezwykle utalentowani, wspaniale przekazują nastrój i uczucia. A więc niezależnie od tego, czy szukacie alternatywy dla bryka na lekcje literatury czy po prostu chcecie obejrzeć świetnie zrobiony serial, z całego serca polecam *Nieszczęśliwe rodziny*.

Reakcja Jaya jest całkowicie zrozumiała.

– O w mordę.

Moją jest milczenie. Milczenie, które się przedłuża, aż wreszcie Jack pyta:

– Czy twoje funkcje życiowe zamierają? Jeśli wciąż jesteś z nami, mrugnij dwa razy.

Nie jestem z nimi. Jestem oszołomiona i milczę do końca przyjęcia. Nawet nie czuję smaku ciasta. Ludzkie głosy brzmią w moich uszach jak zakłócenia.

– Wyglądasz, jakbyś całkiem odleciała – stwierdza Paul po chwili.

– Nie mogę uwierzyć... – zaczynam, ale nie kończę.

Paul poklepuje mnie po policzku i mówi:

– Idź do domu, Tash. Nikt się nie obrazi. I tak nie ma teraz z ciebie żadnego pożytku.

Brutalne słowa, wiem jednak, że Paul nie ma na myśli nic złego. Patrzy na mnie łagodnie i troskliwie.

– Paul ma rację – mówi Jack. – Idź do domu, otrząśnij się.

Moja najlepsza przyjaciółka dobrze mnie zna. Marzę, by znaleźć się w domu, zwinąć na łóżku i sprawdzić wszystko, co tylko się da, na temat statusu strony i szumu w mediach społecznościowych. Marzę o wygodnych spodenkach od piżamy, gigantycznym kubku herbaty earl grey i nowym albumie St. Vincent na pełen regulator. Wszystko, co stoi między mną a tą idealną scenografią, jest tylko białym szumem, bezsensowną paradą obrazów.

– Dzięki – mówię. Na koniec rzucam do Paula: – Ciesz się swoim wielkim dniem.

Odpowiada, unosząc dwa palce i robiąc z nich literę V.

Gdy biegnę do domu, w mojej głowie pojawia się pewna myśl, być może niewybaczalnie egoistyczna: to wielki dzień Paula i Klaudie, ale być może również mój.

Nacisnęłam „repeat”. Ponownie. Już dziewiąty raz oglądam vlog Taylor Mears.

Po powrocie do domu przede wszystkim włączyłam czajnik elektryczny. Potem ściągnęłam przepony kombinezon, włożyłam szorty od piżamy i za duży T-shirt. Nalałam wrzątku do największego kubka, wrzuciłam torebkę earl greya i pomknęłam na górę do swojego pokoju. Włączyłam płytę St. Vincent i podkreśliłam głośność na maksa. Potem jednak uświadomiłam sobie, że nie mogę słuchać płyty oraz oglądać vloga jednocześnie, więc wyłączyłam St. Vincent i obejrzałam *Nowe i interesujące!* jeszcze osiem razy.

Po ostatnim mówię sobie, że muszę się skupić na czymś innym albo doznam trwałego uszkodzenia mózgu. Robię więc to, czego od chwili powrotu do domu bardzo pragnęłam, a zarazem bardzo się bałam: wchodzę na stronę Nowalijek. Czterdzieści osiem tysięcy sześćdziesięciu trzech subskrybentów. Klikam na pierwszy odcinek *Nieszczęśliwych rodzin* zatytułowany *Stiwa Jones to wstrętny zdrajca*. Ponad osiemdziesiąt tysięcy odsłon. O s i e m d z i e s i ą t t y s i ę c y. Jasne, taka liczba

jest kroplą w morzu dla kogoś takiego jak, powiedzmy, Beyoncé, ale dla twórcy skromnego serialu internetowego to naprawdę coś. Przeglądałam pozostałe odcinki. Liczba wyświetleń drastycznie spada przy drugim i trzecim, czego zresztą można się było spodziewać, ale utrzymuje się na podobnym poziomie do samego końca, krążąc w okolicach trzydziestu czterech tysięcy.

Trzydzieści cztery tysiące ludzi oglądały *Nieszczęśliwe rodziny* aż do najnowszego odcinka. No dobra, może nie dokładnie trzydzieści cztery. Pierwsze pięćset wyświetleń przy wszystkich tych nagraniach to rezultat wytężonej pracy Jack i mojej. Przez pół godziny naciskałyśmy „odśwież”. Ale i tak: nasz serial widziały t y s i ą c e l u d z i. Serial, na który składają się nasz scenariusz, nasza reżyseria i nasza praca kamery, czasem zresztą strasznie słaba. Tysiące ludzi, których nigdy nie spotkałam. Tysiące ludzi w ogóle ze mną niezwiązanych. Ludzi z całego kraju. Może nawet z całego świata.

Nie mogę opanować chichotu. Chwytam brzeg T-shirtu i unoszę do twarzy w dziecinnym zachwycie. Czy to jest stan, który określa się mianem „pijany sławą”? A może to było „pijany władzą”? Nieważne, czuję się konkretnie wstawiona.

Nadal popiskując z zachwytu, sprawdzam pozostałe playlisty – mojego osobistego vloga, *Herbatkę z Tash*, oraz kanał będący owocem muzycznej współpracy Jack i Tony’ego, *The Echo Boomers*. Był najpopularniejszym z naszych projektów, ale od zerwania w lutym nie umieszczali żadnych nowych treści, a Jack po cichu zdjęła playlistę z głównej strony. Vlog i *The Echo Boomers* są daleko za *Nieszczęśliwymi rodzinami*, ale i tak liczba odsłon znacznie wzrosła. Pojawiły się też komentarze. Więcej niż zwyczajowe pięć–sześć, które zostawia grupka wiernych fanów. Na moim vlogu, pod filmikiem, na którym sączę herbatę i nieśpójnie bredzę o filmowej wersji *Małych kobietek* z Winoną

Ryder, widnieją pięćdziesiąt dwa komentarze. *OMG, ona jest prześliczna!!!!*

Ktoś uważa, że jestem prześliczna. PRZEśliczna (!!!).

Widzę plakat St. Vincent. Dobry gust. <3

Wreszcie ktoś podziela moje uwielbienie dla St. Vincent. (Jack twierdzi, że St. Vincent jest pretensjonalna. Paul uważa, że jej teksty są zbyt zagadkowe).

A potem dostrzegam licznik lubi/nie lubi. Czterysta trzydzieści dwie osoby polubiły nagranie. Dziewięć osób dało kciuk w dół.

Dziewięć?

Żołądek lekko ściska się w panice. Nie jeden przypadkowy hejter, ale aż dziewięćciu? Co im się nie podoba? Czy mój głos brzmi irytująco? Może nie są fanami *Małych kobietek*? I dlaczego podjęli wysiłek, by okazać niechęć mojemu vlogowi? Ten odcinek to tylko chaotyczna paplanina. Kto traci czas na klikanie „nie lubię” pod głupimi, nieskładnymi filmikami?

Może przesadzam.

Postanawiam skupić się na komentarzach. A jest ich... masa. Zaczynam od pierwszego odcinka *Nieszczęśliwych rodzin* i przeglądam wszystkie chronologicznie.

Kitty/Lewin to naprawdę COŚ, nie? Aaaaaa, teraz muszę przeczytać książkę.

Omg, spojrzenie, które Dolly rzuca Stiwie w 3:11. Wiem, że powinno mi być smutno z jej powodu, ale buachachacha. chcę bluzkę Anny. CHCĘ. Gdzie można to kupić?

Stiwa to dupek ale go kocham. Chyba właśnie o to chodzi. kogo obchodzi Wroński, dajcie Kevina, więcej Kevina.

Kolejne, kolejne, kolejne. Nie mogę się nasycić. Czy czytanie komentarzy to rodzaj uzależnienia? Czy przeglądanie

ich w ten sposób, jeden za drugim, w szalonym tempie, jest godną potępienia formą narcyzmu?

Chociaż one wcale nie mówią o mnie. Mówią o aktorach i o książce mojego martwego rosyjskiego chłopaka. Książce, której adaptacji dokonaliśmy wraz z Jack – całkiem inteligentnie, według niektórych komentujących, w tym Taylor Mears we własnej osobie. Komentarze mówią też o tej właśnie adaptacji, którą również wyreżyserowałyśmy. O projekcie będącym w całości naszym dziełem.

Dzwoni telefon. To Jack.

– Widzisz to, co ja widzę? – pytam.

– Tak, jeśli jesteś na Tumblrze.

– Nie, na stronie głównej. Czytałaś komentarze?

– Jeszcze nie, a sprawdzałaś nasze hashtagi na Tumblrze?

Ludzie już robią GIF-y. Bardzo fajne GIF-y. I jest mnóstwo nowych followersów i wiadomości. Ludzie pytają, jak długo potrwa serial, czy będą dodatkowe materiały, czy będzie drugi sezon i czy zamierzamy umieścić projekt na Kickstarterze. Rozumiesz? Ktoś zapytał, czy zamierzamy umieścić projekt na Kickstarterze.

– O rany.

– Jest też mnóstwo wzmianek i retweetów na Twitterze.

Jeszcze nie sprawdzałam poczty Nowalijek, ale jestem pewna, że przyszła masa maili. Może powinniśmy kogoś zatrudnić, skoro to przybiera takie rozmiary? Trochę panikuję.

– Jeszcze nie aż takie.

– Ee, pięćdziesiąt tysięcy subskrybentów to naprawdę coś.

W każdym razie dla takich ludzi jak my.

– Czy to aby na pewno nie jest zbiorowa halucynacja?

– Paul jest beznadziejny. Zapytał: „Czekaj, a kto to jest Kevin?” i musiałam mu udzielić przyspieszonego kursu ship-pingu. Uwierzysz? Jak to możliwe, że spędza z nami tyle czasu i nic nie wie o sztuce kojarzenia shipów?

– Cały Paul.
– Żenua – zgadza się Jack.
– Ale musisz przyznać, „Kevin” jest dość słabe.
– I tak lepsze niż „Litty”. „Litty” brzmi jakoś tak... oblesnie.
– Hm. No. To co robimy? – pytam. – Powinnyśmy obmyślić plan działania. Taylor umieściła nagranie wczoraj wieczorem, musimy wkrótce zareagować.

– Jutro do ciebie wpadnę i coś wymyślimy. I tak chciałam przejrzeć twoje poprawki do materiału na przyszły tydzień.

– Ale powinnyśmy przynajmniej wysłać dzisiaj maile do aktorów. W razie gdyby jeszcze się nie zorientowali.

– Jasne, dobry pomysł. O rany, wyobrazasz sobie reakcję George'a? – Głos Jack przybiera niskie groźne tony. – Ten zakichany palant pomyśli, że jest nowym Laurence'em Olivierem.

Zapewniam Jack, że zajmę się mailami, i się rozłączam. Czeka na mnie wiadomość. Od taty.

Hej tam, obiad o 7, gdybyś postanowiła wypełznąć z jaskini.

Sprawdzam czas. Tuż po szóstej. Może do siódmej zdążę się trochę uspokoić. W tym momencie czuję, że nie mam ochoty wypelzać z jaskini przez kolejne czterdzieści osiem godzin.

Otwieram prywatną skrzynkę i wciskam „napisz wiadomość”. Jak to ująć? „Gratulacje, drogie gwiazdy!”?

Nagle dostrzegam nowe maile w skrzynce odbiorczej. Moje oczy natychmiast zatrzymują się na tym z adresu Thomnadoo07@gmail.com. Moja pierś gwałtownie faluje i wybucha, po chwili rozsypane kawałki znów składają się w całość. Thom.

Otwieram wiadomość.

Tash,

okej, wiem, że jeszcze nie odpowiedziałem na twój poprzedni mail, ale kurczę, właśnie zobaczyłem i musiałem przesłać GRATULACJE. OBŁĘD. Jestem z ciebie niesamowicie dumny.

Btw, tak sobie myślałem... Oczywiście możesz się nie zgodzić. Ale może chciałabyś wymienić się numerami telefonu? Byłoby fajnie popisać na messengerze. Ale jeśli uważasz, że to dziwne, nie ma sprawy.

Tak czy inaczej, jeszcze raz wielkie gratulacje. Jeśli ktoś na to zasłużył, to na pewno ty.

Thom

Ledwo zdążyłam się odrobinę uspokoić, a znów mam wrażenie, że moja klatka piersiowa zaraz eksploduje. Na mojej twarzy pojawia się szeroki uśmiech, unieruchamiając policzki. Nie są mowicie dumny. Takie słowa naprawdę wiele znaczą, jeśli wypowiada je Thom Causer, wschodząca sława vlogosfery we własnej osobie. I chce mój numer telefonu. Thom Causer prosi mnie o numer telefonu.

Thom jest w moim wieku, ale udziela się w sieci znacznie dłużej. Zdobył popularność w wieku czternastu lat, kiedy wraz z kumplem, Wesem Bridgesem, nagrali serię filmików przedstawiających śmieszne scenki w szkole. Potem zajął się trochę poważniejszymi sprawami i założył vlog *Laboratorium filmowe*. Jest to seria dziesięciominutowych, które ukazują się raz w tygodniu i w których Thom opowiada o wątkach naukowych w sławnych filmach. Zaczął mniej więcej rok temu, w tym samym czasie, kiedy ja założyłam *Herbatkę z Tash*. Jest to seria dziesięciominutowych odcinków, w których za każdym razem piję nowy rodzaj herbaty i opowiadam o adaptacjach klasycznych powieści.

Vlog Thoma jest znacznie popularniejszy niż mój, w końcu zdążył zdobyć widownię, gdy był poświęcony szkolnym zrywom. Ale któregoś dnia, parę miesięcy temu, ktoś otagował i Thoma, i mnie w jednym tweecie na temat vlogów filmowych. Bardzo się ucieszyłam, że ktoś nas razem wymienił. I nie spodziewałam się, że Thom przyśle mi wiadomość, w której

powie, że lubi moje nagrania, i zapyta, od jak dawna interesuję się kręceniem filmów. Wymieniliśmy maile i od tej pory, czyli od sześciu tygodni, pisujemy do siebie regularnie. Nic specjalnego, takie tam uwagi na temat ulubionych filmów i fandomów, ale moja klatka piersiowa ulega autodestrukcji za każdym razem, gdy w skrzynce odbiorczej pojawia się mail od Thoma.

Nikomu o nim nie mówiłam. W każdym razie nie wszystko. Powiedziałam Jack, kiedy przysłał mi pierwszą wiadomość, które to wyznanie nagrodziła wzruszeniem ramion. Nie wspominałam o korespondencji, która nastąpiła później – o długich akapitach skrzących się dowcipem, wypełnionych dygresjami, a nawet, od czasu do czasu, zaopatrzonych w przypisy. O mailach, które ostatnio zaczęły balansować między przyjaźnią a flirtem.

Sama nie wiem, czemu nigdy o nim nie mówiłam. Nie wstydzę się. Nie robię niczego zakazanego. Może czuję się dziwnie, bo nigdy nie spotkałam go w realu, nawet nigdy nie słyszałam jego głosu. No okej, to nie do końca prawda. Słyszę jego głos co tydzień, kiedy umieszcza nowy odcinek *Laboratorium filmowego*. Ale nigdy nie słyszałam jego głosu mówiącego bezpośrednio do mnie. Nigdy nie słyszałam, jak wypowiada moje imię.

A teraz chce się wymienić numerami telefonu, a ja – nic nie mogę na to poradzić – czuję, że to coś wielkiego. Coś znaczącego. Krok w bardzo konkretnym kierunku. Esemesowanie wydaje się bardziej bezpośrednie i znacznie intymniejsze niż pisanie maili. Jeśli do tej pory balansowaliśmy między przyjaźnią a flirtem, to na którą stronę spycha nas jego propozycja...?

Może jednak przesadzam.

Napisanie odpowiedzi zajmuje mi okropnie dużo czasu. Zastanawiam się nad każdym słowem, nawet nad przecinkami.

Nie chcę, by Thom pomyślał, że jego propozycja mnie zdziwiła, nie chcę też jednak wyjść na zdesperowaną. W końcu odpowiadam wesołym podziękowaniem za mail z gratulacjami i zapewniam, że chętnie... – nie, skreślić – że czemu nie mielibyśmy się wymienić numerami. Podaję swój. I wiskam „wyślij”. I chowam twarz w poduszce, wydając żalodne pojękiwania.

Muszę zająć się czymś innym. Na szczęście jest czym. Wylogowuję się z poczty – mail do aktorów napiszę później – i loguję się na konto Twittera Nowalijek. Przeglądam wiadomości, dodaję do ulubionych te, które wymagają jedynie dodania do ulubionych (*o rany, właśnie obejrzałam z rzędu wszystkie odcinki @Nieszczęśliwe_rodziny, musicie to zobaczyć*), a te, które wymagają odpowiedzi (*@Nieszczęśliwe_rodziny BŁAGAM powiedzcie, czy zamierzacie zrobić adaptację Dostojewskiego?*), zostawiam na później, kiedy Jack i ja zdecydujemy, jaką strategię przyjmujemy wobec niespodziewanej sławy.

Wydaje mi się, że minęło zaledwie kilka minut, ale nagle tata woła z dołu, że kolacja gotowa. Mrugając, jeszcze raz spoglądam na ekran laptopa. Niewątpliwie jestem głodna, na przyjęciu byłam zbyt przejęta, żeby zjeść coś porządnego, wmusiłam w siebie tylko odrobinę ciasta. Za to moja dusza jest głodna komentarzy (więcej, w i e c e j komentarzy proszę!), pytań i wszelkich wyrazów uwielbienia.

Co znaczy, że być może jednak mam problem.

Co znaczy, że chyba powinnam zejść na kolację z rodzicami.

Spoglądam na ścianę naprzeciw łóżka, gdzie wisi plakat z Lwem Tołstojem w formacie dziewięćdziesiąt na sto dwadzieścia. Jest to ziarnista czarno-biała fotografia pisarza w wieku lat dwudziestu. Lew siedzi z łokciem niedbale ułożonym na wygiętym oparciu eleganckiego fotela. Ma na sobie ciężki płaszcz z klapami i gruby szalik. Wzrok kieruje prosto

w obiektyw. Patrzy wilkiem, jakby mówił: „Dlaczego muszę pozować do fotografii? Jestem taki zajęty, taki inteligentny i skomplikowany”.

Opieram podbródek na dłoniach i pytam Lwa:

– Czy ja mam problem?

Lew patrzy wilkiem spod ciemnych brwi.

– Powinnam zjeść kolację z rodzicami jak normalny śmiertelnik, tak?

Lew dalej patrzy wilkiem.

I jak tu go nie kochać.

– Tak myślałam.

W niespodziewanym akcie samokontroli zamykam laptop i zeskakuję z łóżka. Kieruję się w stronę schodów i nawet nie zabieram ze sobą telefonu.

Przerwa zapewne dobrze mi zrobiła, lecz godzinę później jestem z powrotem w swoim pokoju. Nie śpię do czwartej nad ranem, przeglądam nagrania, komentarze i hashtagi. Około pierwszej zaczynam obmyślać plan. Zasypiam z ręką na trackpadzie.

Natasha, zwana Tash, to prawdziwa fangirl. Uwielbia czytać, a jej ukochany pisarz to Lew Tolstoj. Jej pokój wypełniają cytaty z jego książek i plakaty. Jest też vlogerką. Na jednym ze swoich kanałów na podstawie *Anny Kareniny* Tolstoja tworzy wraz z paczką przyjaciół serial internetowy *Nieszczęśliwe rodziny*. Pewnego dnia Tash nie może uwierzyć własnym oczom: liczba subskrybentów jej kanału na YouTube rośnie w błyskawicznym tempie. I zaczyna się: GIF-y, fanarty, szaleństwo na Twitterze, ciągły przyrost followersów... Piszze do niej nawet Thom Causer, jeden z najseksowniejszych youtuberów, prosząc o numer telefonu, bo chce ją lepiej poznać. Nominacja do najważniejszej nagrody vlogerów staje się dla niej ukoronowaniem ciężkiej pracy. Jednak wraz z rosnącą liczbą odślon swojego kanału dziewczyna poznaje też samą siebie. Czy znajdzie odwagę na miłość w realu? Czy razem z przyjaciółmi udźwignie ciężar sławy?

Milion odślon Tash to powieść wypełniona humorem i celnymi spostrzeżeniami dotyczącymi dorastania, którą pokochasz od pierwszej strony – i będzie to miłość odwzajemniona.

E-book dostępny na


woblink.com



ISBN 978-83-7515-454-2
Cena detal. 39,90 zł

 **lubimy czytać.pl**

Dołącz do fanów książek Moondrive:

facebook.com/
MoondriveKsiazki 

instagram.com/
MoondriveKsiazki 